GLOBALNIE · ANALIZA

OD NARODU WASP-ÓW DO NARODU BLM, CZYLI JAK KSZTAŁTOWAŁA SIĘ AMERYKAŃSKA TOŻSAMOŚĆ

Jakub Siemiątkowski · 19 listopada 2022

Naród amerykański uchodzi nieraz za odwołujący się wyłącznie do obywatelstwa, składający się z szeregu różnych mniejszości, wręcz kosmopolityczny – czerpiący dumę z własnej inkluzywności. Jeśli jednak zagłębić się nieco bardziej w historię USA, prawda okaże się znacznie bardziej złożona. Jak twierdzą badacze, dzieje kształtowania się narodu amerykańskiego nie odbiegały aż tak bardzo od analogicznych procesów w innych krajach zachodniego kręgu kulturowego. Etniczność była dla dawnych Amerykanów podstawą narodu.

Pogląd o narodzie amerykańskim jako tworze pluralistycznym, nadzwyczaj zróżnicowanym wewnętrznie, upowszechnił w 1830 r. Alexis de Tocqueville w swojej słynnej rozprawie *O demokracji w Ameryce*. W późniejszych czasach inni autorzy powielali ten obraz do tego stopnia, że wizerunek ów stał się w wielu środowiskach powszechny. Jak bardzo odbiega on od rzeczywistości, dostrzeżemy, kiedy zagłębimy się w dzieje USA. W poniższym artykule pochylimy się kolejno nad zagadnieniem początków narodu amerykańskiego, by przejść do opisu asymilacji narodowej kolejnych fal imigrantów z Europy oraz stosunku białych Amerykanów do współistniejącej z nimi na przestrzeni wieków czarnej mniejszości. Ostatnia część tekstu poświęcona jest okresowi przełomowemu dla podjętej tematyki, związanemu z przemianami społecznymi lat 60. i 70. XX w., kiedy to tradycyjne ujęcie narodu amerykańskiego uległo głębokiej redefinicji.

CZYTAJ TAKŻE: Śmierć George'a Floyda. Wyrok na Amerykę?

Amerykański mit

Ideały demokratyczne i liberalne, które rzutowały na amerykańską tożsamość przez cały okres istnienia USA, zakorzeniły się w społecznościach osadników przybywających na nowy kontynent już przed rewolucją amerykańską. Jak podkreślał Tocqueville, gminy w Nowej Anglii ukonstytuowały się w pełni ok. 1650 r. Co prawda, uznawały one zwierzchność zamorskiego monarchy, ale w ich obrębie panowało życie niemalże demokratyczne, republikańskie. Gmina mianowała urzędników, ustalała wysokość podatków i je ściągała. Jak na owe czasy świadomość społeczna musiała stać u osadników stosunkowo wysoko. O ile w Anglii w dobie rewolucji amerykańskiej mniej niż jedna piąta dorosłych mężczyzn miała prawo wyborcze, o tyle już w koloniach były to dwie trzecie – podaje Jill Lepore. Z drugiej strony, przyjmuje się, że generalnie brytyjscy osadnicy zaczęli uważać się nie tylko za mieszkańców kolonii, lecz także za część szerszego amerykańskiego narodu dopiero w dobie samych walk o niepodległość pod koniec XVIII w. Dodać przy tym należy, że republikańskie konotacje miała także religijność osadników – nieraz migrujących do

nowego świata z uwagi na religijne prześladowania. Nawet amerykańscy anglikanie byli wspólnotą znacznie mniej hierarchiczną niż w metropolii – pisze badacz zagadnienia Eric Kaufmann.

Co szczególnie ważne, USA powstawały jako konglomerat kolonii opartych na dość jednolitym substracie etnicznym – osadnikach brytyjskich. W 1790 r. biała ludność miała w 60% pochodzenie angielskie, w 80% brytyjskie, a resztę stanowili głównie Niemcy i Holendrzy. Polemizując z popularnym określeniem Amerykanów jako „narodu imigrantów", Samuel Huntington podkreśla, że należałoby tu mówić raczej o narodzie osadników. Tradycyjna kultura USA tworzona była bowiem przez ludzi, którzy przybywali na te ziemie budować nowy porządek – a nie imigrantów, którzy by się do już istniejącego ładu dostosowywali, asymilowani przez rdzennych mieszkańców.

Już u zarania państwa widać było u Amerykanów dążenie do zabezpieczenia jednolitości etnicznej nowego narodu. W 1790 r. przyjęto ustawę naturalizacyjną, która przyznawała prawo do obywatelstwa wyłącznie „wolnym białym mężczyznom" o „nienagannym charakterze moralnym". W przyszłości zjawisko to miało się nasilać.

Jak zasygnalizowano, mówimy tu o społeczności religijnie dość zróżnicowanej, choć niemal wszystkie występujące tu wyznania były protestanckie (od purytanów po anglikanów) – w początkach istnienia USA aż 98% ludności stanowili protestanci. Nowa Anglia – kraj purytański, głęboko religijny – była na swój sposób predestynowana do tego, by wytworzyć pewną formę (proto-)nacjonalizmu. Jak bowiem twierdzi Anthony Smith, tendencje takie objawiały się już w niektórych wspólnotach protestanckich w XVI-wiecznej Europie. Widząc siebie w kategoriach podobnych do tych, w jakich przedstawiony został w Biblii naród żydowski, mesjanistycznie usposobieni purytanie uważali, że są ludem wybranym, przeznaczonym do wzniesienia nowego kraju – w nowej Ziemi Obiecanej.

Zdaniem Kaufmanna kosmopolityczny wizerunek narodu obecny w rozważaniach Tocqueville'a był więc raczej narzędziem retorycznym, któremu nie należy przypisywać istotnego znaczenia w badaniach nad faktycznym kształtem amerykańskiej tożsamości. Sam Tocqueville zresztą podawał, że nie spotkał prawie Amerykanów, którzy nie dowodziliby swojego pokrewieństwa z angielskimi założycielami kolonii. Francuz widział w nich „rasę angielską w Ameryce" lub „Anglo-Amerykanów".

Jeszcze bardziej interesujący jest fakt, że ojcowie założyciele USA, tacy jak George Washington, John Adams czy Benjamin Franklin, powoływali się na stare angielskie wolności z Magna Charta, a nawet z czasów poprzedzających podbój Anglii przez Wilhelma Zdobywcę. Pojawia się w tych odwołaniach Alfred Wielki, a u idącego najdalej Thomasa Jeffersona znajdziemy nawet Hengesta i Horsę – wodzów saskich, którzy najechali Wyspy Brytyjskie w V w. Zdaniem trzeciego prezydenta USA Amerykanie niejako wyzwolili się spod normańskiego jarzma, które utożsamił z panowaniem brytyjskim. Z drugiej strony, Jefferson odwoływał się do tułaczki Izraelitów, którzy po wyjściu z Egiptu w końcu dotarli do nowej ojczyzny. To typowy mit etnogenezy, podobny np. do burskiego.

Również sam liberalizm był dla Amerykanów czynnikiem wzmacniającym poczucie własnej wyjątkowości. Nie było w tym nic z kosmopolityzmu, widzimy tu raczej dumę wynikającą z faktu, że gloryfikacja wolności odróżnia ich od innych narodów – zarówno sąsiednich, jak i tych europejskich. Można wręcz stwierdzić, że liberalizm przyczyniał się do wzmacniania amerykańskiego partykularyzmu etnicznego, choć jednocześnie w kulturze amerykańskiej da się zauważyć pewne napięcie pomiędzy jednym a drugim – pisze Kaufmann. Widać to wśród czołowych przedstawicieli amerykańskiej kultury. Ralph Waldo Emerson z jed-

nej strony stwierdzał, że USA stanowi schronienie dla wszystkich ludów, by w innym momencie zauważać, że Afrykanie, Indianie, Chińczycy, a nawet Irlandczycy nie są przeznaczeni do tego, by zajmować istotne miejsce w rodzinie ludzkiej – zupełnie inaczej niż Anglosasi, przed których energią ugiąć się miał cały świat.

> Amerykański nacjonalizm pogłębiała demokratyzacja. Do ok. 1820 r. większość osadników europejskiego pochodzenia stała się świadomymi Amerykanami. Już w 1828 r., w czasie prezydentury populisty Andrew Jacksona, wszyscy biali mężczyźni uzyskali równe prawa wyborcze. Wyłączone z członkostwa w narodzie były oczywiście inne rasy.

Kaufmann podsumowuje, że opisany powyżej anglo-amerykański mit rozprzestrzenił się szeroko w społeczeństwie mniej więcej do 1850 r. Zakładał on, że: Amerykanie wywodzili się od Anglosasów; stanowili egalitarny i demokratyczny lud, wierny Biblii; byli swego rodzaju narodem wybranym, zobowiązanym szerzyć wolność i protestantyzm na zachodniej półkuli; mieli prawo rozszerzać swoje panowanie i zasiedlać ziemie aż do Pacyfiku. Ten ostatni czynnik był szczególnie ważny dla amerykańskiego mitu. Już Jefferson uważał, że przyszłością republiki jest ekspansja. Naród wolnych farmerów miał zasiedlać ziemie leżące na zachód od granic 13 stanów założycielskich. W 1790 r. białych Amerykanów było niecałe 4 mln, a większość z nich mieszkała w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Atlantyku. Do 1800 r. pół miliona ludzi osiedliło się w rejonie rzek Tennessee, Ohio i Cumberland. W 1830 r. białych Amerykanów było już 13 mln, a do 1840 r. 4,5 mln przekroczyło Appalachy, osiadając w dolinie Missisipi. Kolonizacja Teksasu i wygrana z Meksykiem jedynie dowodziły słuszności amerykańskiego misjonizmu. „Uniwersalny naród jankeski może w ciągu kilku lat odnowić i wyzwolić mieszkańców Meksyku: wierzymy, że ucywilizowanie tego pięknego kraju stanowi część naszego przeznaczenia" – można było w 1847 r. przeczytać w „The New York Herald".

Aż do końca XIX w. celem przywódców USA było wypełnienie tzw. Objawionego Przeznaczenia (*Manifest Destiny*), którego treść sprowadzała się w zasadzie do stałej ekspansji na Zachód – najpierw przejmowania kontroli nad kolejnymi ziemiami, chwilę później zasiedlania ich. Po usunięciu Brytyjczyków, skłonnych poszukiwać kompromisu z plemionami indiańskimi, Amerykanie przeszli do bezwzględnego wypychania autochtonów z ich ziem. Żywioł ten był znacznie słabszy demograficznie i mało zaawansowany technologicznie, co skazywało go na klęskę. Walka z rdzennymi mieszkańcami Ameryki cieszyła się nieodmiennie poparciem narodu. Pogromcy Indian, tacy jak Jackson, stawali się bohaterami, którym stawiano pomniki (wizerunek jego samego trafił na banknot 20-dolarowy). W roku 1850, gdy granice USA przypominały już obecne, państwo zamieszkiwało ponad 23 mln ludzi, z czego jedynie nieco ponad 660 tys. Indian. Do ok. 1900 r. ich populacja została zepchnięta do rezerwatów.

Ekspansja, kolejne wojny i kolonizacja ziem zachodnich sprawiały, że amerykańskie poczucie narodowe cały czas rosło w siłę. Dopiero jednak wojna secesyjna miała sprawić, że wysunęło się ono jednoznacznie przed inne tożsamości – lokalne, stanowe, religijne.

Swój czy obcy?

Jak pisze Jerzy Surdykowski, „wizja Ameryki plemiennej od początku ścierała się z wizją Ameryki jednona-

rodowej, a w wyniku tego starcia wciąż poszerzało się mgliste zawsze pojęcie *naród amerykański*; bardzo szybko okazało się, że niemożliwa jest Ameryka WASP-ów [*White Anglo-Saxon Protestant* – białych, anglosaskich protestantów – przyp. JS], w której inni będą obywatelami podrzędnych kategorii". „WASP-owski rdzeń" Ameryki „tolerował imigrantów tylko o tyle, o ile stanowili podatne tworzywo dla *tygla* mającego ujednolicić wszelkie odrębności według przywiezionego na *Mayflower* wzorca".

Początkowo dominowała więc koncepcja asymilacji nazywana anglokonformizmem. Zakładała ona, że w związku z faktem, iż zarówno naród amerykański, jak i same Stany Zjednoczone mają brytyjskie korzenie kulturowe, to brytyjski charakter kultury państwa powinien niepodzielnie dominować. Kolejne fale przybyszów miały po prostu asymilować się do tego modelu. Inną koncepcją był tzw. *melting pot*, zakładający, że Amerykanin nie jest już Europejczykiem – jest nowym człowiekiem, a Ameryka wielkim tyglem, stapiającym różne ludy w jeden[1]. Dopiero znacznie późniejszy koncept pluralizmu kulturowego wynosi odmienności ponad ideał jedności narodowej.

Niezależnie więc od istniejących różnic jasne było dla sfer rządzących, że ideałem, do którego należy dążyć, jest jednolitość etniczna. Gdy więc w 1818 r. Irlandczycy zwrócili się do Kongresu USA z prośbą o wyznaczenie im ziemi, gdzie mogliby zakładać swoje osady, ten odmówił, gdyż „koncentracja ludności obcej w jednym obszarze" stanowić miała zjawisko niepożądane. Nie bez przyczyny decyzję tę uznaje się za przełomową w historii USA.

Innym interesującym przypadkiem są Niemcy w USA. Jeszcze przed ogłoszeniem Deklaracji Niepodległości było w Ameryce ok. 100 tys. Niemców. Ich napływ trwał przez cały XIX w. Do 1930 r. przybyło ich tu ok. 6 mln. Mniejszość ta długo zachowywała język i świadomość odrębności. Niemieccy osadnicy w stanach takich jak Pensylwania byli jednak asymilowani pomimo wysiłków na rzecz zachowania własnego języka i kultury. Już przed rewolucją istniało powołane przez Benjamina Franklina towarzystwo dążące do anglicyzacji pensylwańskich Niemców. W toku tego procesu ci zmieniali nawet swoje nazwiska. Przykładowo, Zimmerman zostawał Carpenterem, a Rittinghuysen zmieniał nazwisko na Rittenhouse – opisuje Kaufmann. „Na przestrzeni całej historii Ameryki ludzie, którzy nie byli białymi anglosaskimi protestantami, stawali się Amerykanami przez przyjęcie amerykańskiej angloprotestanckiej kultury i wartości politycznych" – dodaje z kolei Huntington. Nawiasem mówiąc, zjawisko to do złudzenia przypomina procesy frankizacji galo-rzymskiej szlachty w królestwie Merowingów i Karolingów, opisane przez Benedykta Zientarę w słynnym *Świcie narodów europejskich*. Późniejsza o millenium geneza narodu amerykańskiego nie różni się więc znacząco od tego, jak powstawały czołowe narody zachodniej Europy.

W latach 1790–1854 wydano 15 aktów regulujących zasady naturalizacji. Siły sprzeciwiające się imigracji żądały wydłużenia wymaganego okresu zamieszkania do 15–21 lat. W praktyce kończyło się na okresie 2- lub 5-letnim, w trakcie którego imigrant musiał przyswoić wiedzę o instytucjach amerykańskich.

> Stały napływ „obcych" rozpalił tęsknotę za rzekomo czystszą republiką, jaką miały być Stany Zjednoczone u swego zarania. Uczucie to było źródłem etnicznego nacjonalizmu, zwanego w USA natywizmem. Mowa tu o takich siłach politycznych, jak Amerykańska Partia Natywistyczna (*Native American Party*), zwana częściej Ruchem Nic Niewiedzących (*Know Nothing movement*), Zakon Gwieździstego Sztandaru (*Order of the Star Spangled Banner*) czy wreszcie Ku Klux

Klan.

W wyborach do Kongresu w 1892 r. głosząca hasła natywistyczne i populistyczne Partia Ludowa (*People's Party*) zdobyła 8,5% głosów, rzucając wyzwanie dwóm głównym siłom politycznym. Partia sprzeciwiała się nadaniu praw wyborczych wszystkim, którzy pochodzili z Afryki lub Azji. Rosła wciąż agresja wobec napływających katolików, szczególnie Irlandczyków, którzy zaczęli dominować w niektórych obszarach Nowej Anglii. Kilka lat później nurt natywistyczny reprezentowany przez Williama Bryana zdobył nawet przywództwo w Partii Demokratycznej.

Natywistom nie udawało się jednak powstrzymać imigracji. W XIX w. do USA przybyło łącznie ponad 35 mln migrantów. Jak podaje Zbigniew Lewicki, było to największe w historii przemieszczenie się ludności w czasie pokoju. Problemem stawała się również migracja z Azji. W 1885 r. w Rock Springs w Wyoming biali zaatakowali chińskich górników. Ofiarą masakry stało się 28 z nich. Trzy lata wcześniej, w 1882 r., Kongres uchwalił pierwszą ustawę antyimigracyjną, zakazującą Chińczykom przekraczania granic USA. Stwierdzała ona również, że 14. poprawka do Konstytucji nie obejmuje osób pochodzenia chińskiego. Chińczycy mieli nigdy nie stać się obywatelami USA.

Wprowadzane prawa klasyfikowały białych imigrantów z Europy jako zdatnych do uzyskania obywatelstwa, w przeciwieństwie do Azjatów i Meksykanów. Jednocześnie kwitł opisany powyżej mit anglo-amerykański. W 1889 r., odnosząc się do ekspansji terytorialnej USA, Theodore Roosevelt widział w niej kontynuację ciągu wydarzeń takich jak podbój Brytanii przez Sasów i pobicie hiszpańskiej Armady w 1588 r. Innym razem mówił, że „najpewniejszym sposobem zniszczenia tego narodu, unicestwienia jego narodowej egzystencji byłoby przyzwolenie, by stał się zbieraniną zwaśnionych narodowości". Niejednorodną społeczność trzeba było więc unifikować. Europejscy imigranci mieli stawać się WASP-ami przez przyjęcie języka angielskiego, amerykańskiego rozumienia wolności, protestantyzmu oraz poprzez zawieranie małżeństw z Amerykanami. Zdaniem intelektualistów anglosaska krew i amerykańskie środowisko wręcz zmieniały napływowych, czyniąc ich Anglosasami. Poczucie wyższości było w tych sferach głęboko zakorzenione. Jak twierdził jeden z wykładowców Uniwersytetu Columbia, Germanie i Anglosasi to rasy „w szczególny sposób obdarzane zdolnością ustanawiania państw narodowych [...], dzięki czemu powierzono im misję [...] kultywowania cywilizacji politycznej współczesnego świata".

Na przełomie XIX i XX w. kolejne fale migracji napływały jednak do USA przede wszystkim z południowej i wschodniej Europy. Ameryka musiała się więc zetknąć ze społecznościami wciąż białymi i europejskimi, ale od WASP-owskiego ideału jeszcze bardziej odległymi niż Irlandczycy (nie mówiąc o Niemcach). Mechanizm asymilacyjny generalnie jednak wciąż działał. Z czasem amerykańskimi patriotami stawali się tak wcześniej pogardzani Irlandczycy, a nawet Słowianie czy Włosi. Problemem powoli przestawał być katolicyzm części migrantów. Choć punkt ciężkości amerykańskiego narodu powoli przesuwał się z ideału WASP-owskiego w kierunku ogólnoeuropejskiego, to protestanccy Anglosasi wciąż stanowili rdzeń i elitę narodu. Na korzyść koncepcji asymilacyjnych grał fakt, że mniej więcej do początków XX w. znaczna część imigrantów nie miała silnej, wykształconej świadomości narodowej. Jak pisał Will Herberg, „imigranci byli nie Włochami, lecz Apulijczykami lub Sycylijczykami, [...] nie Niemcami, lecz Bawarami, Sasami czy Prusakami, nie Grekami, lecz mieszkańcami Tracji lub Ludźmi z Epiru". Przybywając do Ameryki, często nie organizowali się podług podziałów narodowych.

Po I wojnie światowej wciąż sprawą konsensusu był europejski charakter narodu amerykańskiego – asymilującego napływowych Europejczyków do anglosaskiego wzorca. Można tu mówić o nacjonalizmie etnicznym. Konsensus ten trwał w zasadzie aż do lat 60. XX w. W 1924 r. przytłaczająca większość deputowanych do Kongresu poparła ustawę o kwotach poszczególnych nacji wśród imigrantów, jednoznacznie preferującą tych z krajów północno-zachodniej Europy. Środowiska antyimigranckie dążyły nawet do zwiększenia udziału Brytyjczyków w całkowitym napływie przybyszów.

Jednocześnie apogeum potęgi przeżywał reaktywowany w 1915 r. Ku Klux Klan. Organizacja liczyła w szczytowym momencie aż 4 mln członków, w niektórych stanach będąc potężną siłą. Przykładowo, ponad jedna czwarta białych mężczyzn w stanie Indiana była w latach 20. członkami Klanu. Poparcie dla niego deklarowało wielu polityków (zarówno demokratów, jak i republikanów), a w Białym Domu w pokazie słynnych *Narodzin narodu* Davida W. Griffitha uczestniczył nie kto inny jak Woodrow Wilson. Dużo mówi to o kategoriach, w jakich amerykańskie elity postrzegały przynależność do swojego narodu.

CZYTAJ TAKŻE: Antyrasizm, alibi dla przemocy politycznej lewicy

Rasizm

Czarni towarzyszyli białym osadnikom niemal od początku istnienia brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej. Pierwszy transport czarnych niewolników trafił do nich już w 1619 r. Populacja ta stale rosła. O ile w 1690 r. stanowili oni 8% ludności angielskich kolonii, o tyle w 1770 r. – już 21%. Może się wydać paradoksalnym fakt, że państwo oficjalnie szermujące hasłami wolności, prowadzące nawet wojny w imię wyzwolenia człowieka, było w stanie sprowadzić obcoplemieńców współistniejących z białymi do rangi *de facto* podludzi. Jak to ujął czarnoskóry historyk z Uniwersytetu Stanforda Clayborne Carson, „niewolnictwo było rewersem amerykańskiej wolności. Biali Amerykanie cieszyli się wolnością, bo zawsze był ktoś inny, kto był jej pozbawiony i kto pracował na ich wolność". Nie jest oczywiście tak, że sprawa ta nie budziła kontrowersji. Działał ruch abolicjonistyczny, a tragizm losu czarnych budził sumienia także za granicą. W swoim klasycznym dziele Tocqueville pisał: „Murzyn ze Stanów Zjednoczonych stracił wszystko; odebrano mu nawet wspomnienie rodzinnego kraju. Nie zna już języka, którym mówili jego ojcowie, wyrzekł się ich religii i zapomniał o obyczajach. Przestał należeć do ziemi afrykańskiej, nie zyskując żadnych praw do dóbr europejskich, zatrzymał się między dwoma społeczeństwami, pozostał samotny między dwiema wspólnotami". Jak dodawał, czarny mieszkaniec Ameryki, „sprzedany przez Afrykę i odrzucany przez Europę, prócz domu swego pana nie ma już nic, co choćby częściowo mogłoby mu zastąpić wyobrażenie ojczyzny".

W mającym podobne nastawienie społeczeństwie nie było mowy o uznaniu Murzynów za część narodu. Jak wprost deklarował pierwszy prokurator generalny USA Edmund Randolph, niewolnicy nie są „członkami naszego społeczeństwa". Podobnie zresztą postrzegano wolnych Murzynów, którym i tak odbierano prawo głosu. Czołowe postaci amerykańskiej historii, takie jak Thomas Jefferson, James Madison czy Abraham Lincoln, popierały emigrację czarnych do Afryki, czego skutkiem było utworzenie Liberii w 1821 r. Ostatni z wymienionych powiedział w 1862 r. pierwszej grupie wolnych Murzynów odwiedzającej Biały Dom, że powinna wyemigrować na Czarny Ląd.

Nad poglądami prezydenta identyfikowanego ze sprawą wyzwolenia czarnoskórych warto się zresztą pochylić chwilę dłużej. Pozwoli to zrozumieć, jak podchodzili do spraw narodu przynajmniej niektórzy abolicjoniści. Jeszcze przed wojną secesyjną w Charlestown w Illinois Lincoln mówił:

„[...] nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem wprowadzenia jakkolwiek rozumianej równości społecznej i politycznej białej i czarnej rasy; nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem tego, by czarni uzyskali prawa wyborcze, zostawali sędziami, urzędnikami czy też zawierali związki małżeńskie z białymi [...]. A ponieważ nie wolno im tak żyć, gdy [dwie rasy] pozostają razem, jedna z nich musi być wyższa, a druga niższa; ja zaś, podobnie jak wszyscy, zgadzam się z tym, że owa nadrzędna pozycja przeznaczona jest dla rasy białej".

Z kolei już w czasie wojny, w sierpniu 1862 r., Lincoln pisał:

„Gdybym mógł utrzymać jedność Unii, nie uwalniając żadnych niewolników, zrobiłbym to; gdybym mógł ją utrzymać, uwalniając wszystkich niewolników, uczyniłbym to bez wahania; gdybym mógł to zrobić, uwalniając część z nich, a zostawiając w niewoli innych, tak właśnie bym postąpił. Wszystko, co robię odnośnie do niewolnictwa i ludności kolorowej, robię, aby zachować Unię, a jeśli z czegoś rezygnuję, czynię to, bo nie wierzę, że pomoże to zachować Unię".

Rok wcześniej zresztą sam Kongres niemal bez głosów sprzeciwu uchwalił rezolucję mówiącą, że wojna nie jest prowadzona w celu ingerowania w prawa poszczególnych stanów, ale wyłącznie dla zachowania Unii.

W wyniku zwycięstwa w wojnie secesyjnej doszło jednak do zniesienia niewolnictwa na terytorium całych USA. W 1868 r. 14. poprawka do Konstytucji uznała czarnych za obywateli państwa, a dwa lata później 15. głosiła, że nie można człowiekowi odebrać praw wyborczych na podstawie rasy. Jak jednak podaje w słynnej *Ludowej historii Stanów Zjednoczonych* Howard Zinn, po zakończeniu wojny w dziewiętnastu spośród dwudziestu czterech stanów północnych czarni wciąż nie mieli prawa głosu. Już od lat 90. XIX w. kolejne stany zaczęły uchwalać tzw. prawa Jima Crowa – na różne sposoby ograniczające uprawnienia czarnych, wprowadzające segregację rasową. Do początku XX w. usankcjonowały ją prawnie wszystkie stany Południa.

> Rasizm nie dotyczył oczywiście wyłącznie czarnych. Po wojnie z Meksykiem w latach 1848–1849 senator John C. Calhoun sprzeciwiał się uznaniu Meksykanów, którzy żyli na terenach przyłączonych do USA, za obywateli państwa. „Nasz rząd jest rządem ludzi białych" – mówił. Co ciekawe, także obecny wówczas sprzeciw wobec wojny motywowany był często kwestiami rasowymi. Jeden z kongresmenów (i abolicjonista), Columbus Delano, uważał, że w rezultacie podboju Meksyku Amerykanie zaczną mieszać się z niższymi rasami: „wszystkimi odmianami kolorowych [...], [tworząc] smutną mieszankę krwi hiszpańskiej, angielskiej, indiańskiej i murzyńskiej [...], co doprowadzi do powstania rasy istot leniwych i głupich".

Rasizm nie był wówczas domeną wyłącznie prawicy. Poglądy tego typu były powszechne również w kręgach amerykańskich środowisk postępowych. Jak podkreślał słynny czarnoskóry działacz emancypacyjny W.E.B. Du Bois, demokratyzacji USA towarzyszył „wzrost nienawiści do ciemniejszych ras". „Białego robotnika zaproszono do udziału w eksploatacji *żółtków i czarnuchów*". Jeszcze w początkach XX w. większość związków tworzących Amerykańską Federację Pracy nie dopuszczała członkostwa czarnoskórych robotników. „Dla Amerykanina śmierć jest lepsza od życia na równi z Chińczykiem" – głosił pro-

gram Partii Robotniczej z Kalifornii z 1876 r. Kiedy z kolei Theodore Roosevelt zakładał Partię Postępową, na jej konwencję nie wpuszczono czarnych delegatów. Miała to być partia wyłącznie białych.

Sprzyjała temu rehabilitacja Konfederacji. Na przełomie XIX i XX w. doszło do licznych gestów mających zasypać podziały między Południem a Północą. Budowano wspólne pomniki, Kongres zwrócił południowcom ich sztandary wojenne, a Prezydent William McKinley zaoferował dawnym konfederatom wysokie stanowiska w armii. Podczas obchodów 50-lecia bitwy pod Gettysburgiem Wilson przemawiał w duchu pojednania do 50 tys. weteranów Konfederacji i Unii. Czarnych weteranów na uroczystości nie zaproszono.

Dyskryminacja skutkowała różnymi formami reakcji. Pochodzący z Jamajki Marcus Garvey zapoczątkował ruch tzw. czarnego nacjonalizmu, który dążył wówczas do emigracji czarnych do Afryki w celu utworzenia tam państwa narodowego czarnych. Postępowała też migracja Murzynów wyruszających na północ w poszukiwaniu lepszych warunków życia. O ile w 1910 r. 90% czarnych mieszkało w stanach południowych, o tyle już w 1965 r. połowa żyła na Północy.

Jeszcze w latach 30. Franklinowi D. Rooseveltowi, którego *New Deal* cieszył się sporym poparciem czarnych, nie przeszkadzało w żaden sposób to, że na Południu jego demokraci odmawiają im prawa głosu. W czasie II wojny światowej zakazywano czarnym służenia w lotnictwie i piechocie morskiej. W marynarce wojennej mogli służyć jako kucharze i stewardzi. Jak informował sekretarz wojny Henry Stimson, „żołnierz murzyński jest odseparowany od białego żołnierza tak dokładnie, jak to możliwe". Po wojnie Murzyni byli wykluczeni z organizacji weteranów.

Po raz pierwszy wpuszczono czarnego dziennikarza na konferencję prasową prezydenta USA dopiero w 1944 r., a stowarzyszenie korespondentów Białego Domu sprzeciwiało się i temu – pisze Zbigniew Lewicki. Sam wiceprezydent Harry Truman, przemawiając w 1940 r. do Krajowego Stowarzyszenia Kolorowych Demokratów, mówił: „Nie nawołuję do społecznej równości czarnych. Sami czarni tego nie oczekują". Do końca życia mówił o czarnych *nigger* (czarnuch), choć w latach powojennych wydał dwa rozporządzenia desegregacyjne dotyczące zakazu dyskryminacji rasowej w wojsku i administracji federalnej.

Zmierzch dawnej Ameryki

Działania Trumana budziły opór. W odpowiedzi na nie były gubernator Alabamy Frank Murray Dixon stwierdził, że prawa te „uczynią z nas kundli, niższą rasę, o pomieszanej krwi; kpinę z naszego anglosaskiego dziedzictwa". Jeszcze w latach 60. minister finansów Ghany w trakcie wizyty w USA usłyszał, że nie zamówi soku w restauracji, gdyż Murzyni mają zakaz wstępu do niej. Kultura wciąż hołdowała dawnym wzorcom. W latach 50. w amerykańskim kinie – mimo że Hollywood pełne było katolików i Żydów – promowano anglokonformizm. Główni bohaterowie byli na ogół WASP-ami. Pierwszy amerykański prezydent niebędący protestantem (katolik John F. Kennedy) został wybrany dopiero w 1960 r.

Wszystko miało się zmienić w czasie przemian społecznych lat 60. i 70. Pogląd, że Amerykanie stanowią kosmopolityczny w istocie naród imigrantów, zdobył pewne znaczenie w okresie międzywojennym. „Liberalno-kosmopolityczna wizja Stanów Zjednoczonych była w amerykańskiej psychice marginalna, zadomowiła się wśród intelektualistów dopiero w latach 30. i nie zdobyła masowej popularności aż do późnych lat 60." – podsumowuje swoje rozważania Kaufmann. Zdaniem badacza, biorąc pod uwagę to, co dzieje

się w zachodniej Europie mniej więcej właśnie od lat 60., doświadczeń Ameryki nie należy postrzegać w tym kontekście jako wyjątkowych. Stanowić miały one bowiem odzwierciedlenie szerszego trendu przebudowy systemu wartości w kulturze Zachodu. Jak z kolei uważa Huntington, to właśnie wtedy inne tożsamości na powrót zaczęły konkurować z amerykańską.

Wskutek ustaw zrównujących prawa czarnoskórych znacząco wzrosła wśród nich liczba głosujących. W 1952 r. w południowych stanach zarejestrowanych było ok. 1 mln czarnych wyborców, co stanowiło jedynie 20% uprawnionych do głosowania. W 1964 r. było to już ok. 2 mln (40%), a w 1968 r. – 3 mln (60%), zrównując się z liczbą białych wyborców. W kolejnej dekadzie znacząco zwiększyła się również liczba czarnych pracujących w administracji. W okresie tym czarna ludność radykalizowała się. Jeśli wierzyć raportom FBI przygotowywanym w 1970 r. dla prezydenta Richarda Nixona, 25% czarnych sympatyzowało z Czarnymi Panterami. Wśród młodzieży odsetek wynosił aż 43%. Obecne powodzenie ruchu Black Lives Matter nie wzięło się najwidoczniej znikąd.

Olbrzymi wpływ na zmierzch starej, WASP-owskiej Ameryki ma demografia.Jak podaje Pat Buchanan, z danych uzyskanych podczas spisu powszechnego w 2010 r. wynika, że już w 2041 r. biali staną się w USA mniejszością. „Biała populacja zacznie się kurczyć, a jeśli obecne wskaźniki urodzeń nie ulegną zmianie, z wolna zacznie wymierać. W grupie osób poniżej dwudziestego roku życia Latynosi już teraz stanowią 42 procent ludności Nowego Meksyku, 37 procent mieszkańców Kalifornii, 38 procent ludności Teksasu i ponad połowę mieszkańców Arizony. [...] Meksyk przemieszcza się na północ. Etnicznie, językowo i kulturalnie. Rozstrzygnięcia z roku 1848 ulegają unieważnieniu" – pisze Amerykanin. Powoli przemija również dominacja protestantyzmu. Jak wynika z badań przeprowadzonych w 2012 r. przez think-tank Pew Forum on Religion and Public Life, protestanci stanowią już tylko 48% społeczeństwa.

Nad opisywanym procesem ubolewali już bardziej lub mniej jawnie nie tylko etnonacjonaliści z ruchu Alt-Right, lecz także paleokonserwatyści pokroju Buchanana, a nawet mainstreamowy Huntington. Wychodząc z pozycji przywiązania do starych amerykańskich wartości, trudno bowiem nie uznawać, że procesy rozpoczęte w latach 60. prowadzą do ich rozkładu. USA staje się państwem skrajnie spolaryzowanym, w którym obrońcy resztek dawnej tradycji ulegają pod naporem radykalnej lewicy. Ta z kolei chce starą Amerykę – lub to, co z niej zostało – nie tyle zmieniać, ile zniszczyć. Zmienić w kraj, który będzie miał z nią jak najmniej wspólnego. Taka Ameryka przestaje być wzorem, do którego równają inni. Jak to ujął jeden z autorów, dawniej przybywano do USA, by stawać się Amerykanami. Dziś po to, by jedynie lepiej żyć, pozostając sobą. Państwo i społeczeństwo, które od przybyszów nie wymagają dostosowania się do dominujących w nim wzorców, tracą podstawy funkcjonowania.

Czy więc Ameryka spod znaku BLM, walki z religią, dekonstrukcji tożsamości narodowej, burzenia pomników amerykańskich bohaterów będzie jeszcze tą samą Ameryką?Wydarzenia lat 2020–2021 każą w to wątpić.

Wybrana bibliografia:

A. Domosławski, *Ameryka zbuntowana. Siedemnaście dialogów o ciemnych stronach imperium wolności*, Warszawa 2007.

P. Buchanan, *Samobójstwo supermocarstwa. Czy Ameryka przetrwa do roku 2025?*, Wrocław 2013.

S. Huntington, *Kim jesteśmy? Wyzwania dla amerykańskiej tożsamości narodowej*, Kraków 2007.

E.P. Kaufmann, *Ethnic or Civic Nation?: Theorizing the American Case*, „Canadian Review of Studies in Nationalism" January

2000.

H. Kubiak, *Rodowód narodu amerykańskiego*, Kraków 1975.

J. Lepore, *My, Naród. Nowa historia Stanów Zjednoczonych*, Poznań 2020.

Z. Lewicki (red.), *Ameryka: polityka, prawo, społeczeństwo*, Warszawa 2016.

Z. Lewicki, *Historia cywilizacji amerykańskiej. Era konfrontacji 1941–1980*, Warszawa 2017.

J.J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*, Kraków 2019.

J. Surdykowski, *Dokąd zmierza Ameryka? Czyli drugie czytanie Tocqueville'a*, Warszawa 2001.

A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, Warszawa 2019.

H. Zinn, *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych. Od 1492 do dziś*, Warszawa 2016.

---

[1] W połowie XIX w. Walt Whitman pisał, że Ameryka „nie jest jedynie narodem, ale wrzącym narodem narodów".

fot: wikipedia.commons

Oryginał:
https://nlad-kopia1113.instawp.site/od-narodu-wasp-ow-do-narodu-blm-czyli-jak-ksztaltowala-sie-amerykanska-tozsamosc/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć